

16

Pewnej nocy...

Mleczna wata spowiła noc. Księżyc w pełni pokazuje się od czasu do czasu, gdy mgła pod stratusami robi się trochę rzadsza. Całe morze mieni się fosforyzującymi zielonymi plamami. Huczy tylko trochę. To dlatego, że mgła tłumi dźwięki. Być może również z tego powodu, że Horn jest już bardzo blisko i fale krzyżowe nie są tak olbrzymie jak te na pełnym morzu.

Po jednej stronie leży Ziemia Ognista, w bezpiecznej odległości, ale wystarczająco blisko, by żadna większa fala nie mogła stamtąd nadejść. Po drugiej Ziemia Grahama ze swymi ławicami, o 500 mil na SSE, bardzo daleko w mojej skali, a bardzo blisko w skali globu. Przed dziobem zaś – wyspa Hornos sąsiadująca z innymi wysepkami zagrządzającymi drogę falom mogącym nadejść ze wschodu. To bez wątpienia powód, dla którego morze mało huczy pomimo wiatru i zaskakującej wysokości fal w pobliżu przylądka Horn. Dzieje się tak również dlatego, że wiatr wieje z północnego zachodu, prawie z NNW.

To nie jest sztorm we właściwym tego słowa znaczeniu, ponieważ barometr zachowuje się niemal rozsądnie, chociaż jego wskazówka lekko spada. Wiatr jednak wieje z siłą solidnej siódemki i „Joshua”

żegluję pod skrajnie zarefowanym bezanem, z dwoma refami na grocie, jednym na fokiu i sztormowym kliwrem o powierzchni 5 m². Idzie bardzo szybko, troszeczkę zygzakując po bardzo wzburzonym morzu. Trudno jednak podjąć decyzję o zmniejszeniu powierzchni ożaglowania, dopóki nie grozi nam realne zagrożenie i chcemy jak najszybciej znaleźć się po drugiej stronie.

Rano zdołałem bardzo dokładnie określić pozycję. Słońce całymi godzinami nie chciało się pokazać, lecz zagapiło się na chwilę, przechodząc nad mniej gęstym stratussem, i wtedy udało mi się ściągnąć jego zawstydzoną bladą twarz do linii horyzontu. Niecałe dwie godziny później znów miałem szczęście i zrobiłem drugą linię pozycyjną. Dwie godziny różnicy między dwiema liniami pozycyjnymi to nie jest idealny pomiar, ale byłem bardzo zadowolony, ponieważ w czasie kulminacji padał deszcz, a Słońce już więcej się nie pokazało.

Mam nadzieję, że spotkam się z nim na małą chwilę jutro rano. Wolabym nie być zmuszony do przechodzenia po omacku między wyspami Diego Ramírez a Hornem. Bardziej na północ jest Ziemia Ognista, a dalej na południe – ryzyko napotkania gór lodowych.

Dziób mruczy, narzekając na wełnistą noc. Trzeba podejść bliżej, żeby go dobrze usłyszeć. Za to w kabinie słychać go wszędzie. Aż za dobrze.

Według rocznika astronomicznego zachód słońca był o godzinie 20. Nie widziałem go z powodu pochmurnej pogody. Ale pojawił się księżyc, rozświetla noc znad stratusów. A daleko na południu, nad ławicami lodu, trwa jeszcze dzień. Gdyby nie zachmurzone niebo cały horyzont po prawej stronie byłby biały dzięki promieniom słońca odbijanym przez lód. Nawigować w wolnych od kry kanałach pośród lodowych pól... Mimo wszystko obawiałbym się zapuszczać tak daleko w krainę bieli.

Zaraz po przejściu Nowej Zelandii, kiedy pogoda była tak piękna, często patrzyłem w tamtą stronę. Zmienić kurs, zobaczyć, poczuć i szybko wrócić, nim będzie za późno, realizując to senne marzenie o ostrym białym czubku niebieskawej góry lodowej, które zawsze będę nosił głęboko w sobie.

I oto godzinami tkwię przy maszcie, gotowy do zrzucenia grota, przypięty dwoma karabińczykami pasa bezpieczeństwa w dwóch różnych miejscach. „Joshua” mknie po bardzo wzburzonym morzu, usianym długimi pasmami bladej piany, z prędkością na granicy między za szybko a za wolno. Mleczna noc tłumiąca wszystkie dźwięki nadal trwa.

Siła wiatru rośnie do 8°B. Jestem niezwykle zadowolony, że rano zastąpiłem foka fokiem sztormowym. Gdybym chciał zmieniać żagle teraz, miałbym sporo problemów. Chcę mieć spokój i mam go. Na pokład wpada bardzo mało wody, czasami tylko trochę bryzgów. Ciepło mi w nogi i wygodnie w wełnianych skarpetach wewnątrz butów. To te same buty, których używałem podczas rejsu z Tahiti do Alicante. Wiejskie kalosze, których solidne, grube podeszwy ponacinałem nożem, żeby się nie ślizgały po pokładzie. Po tym zabiegu, cierpliwie wykonywanym przez cały dzień, są doskonałe, a ponieważ zrobione są z gumy i niepodbite materiałem, łatwo je wysuszyć wewnątrz – dzięki czemu ciepło mi w nogi. Wolę je znacznie bardziej niż te prawdziwe morskie, które zawsze są wilgotne z powodu podklejenia płótnem.

Od czasu do czasu ściągam jedną rękawicę, a kiedy palce zaczynają kostnieć z zimna, znowu ją zakładam. Następnie zdejmuję wełnianą kominiarkę i wkładam ją ponownie, gdy pieką mnie uszy. Tego wieczoru bardziej niż kiedykolwiek czuję potrzebę bezpośredniego kontaktu którejś części mojego ciała z otoczeniem, żeby wyczuwać i doświadczać tego, co dzieje się w głębi nocy. Oczy, uszy, ręce, a nawet kark. A gdybym mógł być na bosaka... Niestety, to niemożliwe.

Szukam zapachu lodowców i wodorostów Ziemi Ognistej. Wdycham noc całym sobą i czuję obecność przyjacielskich istot, które szukają tego zapachu razem ze mną. Jednak wodorosty i lodowce są zbyt daleko stąd, ponad 100 mil po lewej.

Jak na północno-zachodni wiatr o tej porze roku temperatura jest nieco za niska. Myślę, że w kanałach Patagonii wiatr wieje w tej chwili z północy i oziębia się w zetknięciu ze zlodowaciałą ziemią. Bez wątplenia na morzu jest spychany w lewo przez wiatry zachodnie, by stać się w końcu północno-zachodnim, zimnym bez żadnego innego

powodu. Wyjaśniałoby to, dlaczego ten sztorm nie jest prawdziwym sztormem, ponieważ wskazówka barometru nie spadła zbyt nisko. Czytałoby też zrozumiałym dość regularny stan morza mimo wyjątkowo wysokich fal. Załamują się na dość dużej powierzchni, ale niezbyt wysoko, nie spadają ciężkimi kaskadami, jak robiłyby to podczas prawdziwego sztormu. Dlatego na pokładzie jest tak mało wody, jeśli nie liczyć lodowatych bryzgów, które wyrwywają mnie z odrętwienia.

Tak wysoki rozkołys zapowiada – być może – sztorm z sektora zachodniego jutro lub pojutrze. Trzeba więc pędzić szybko i próbować utrzymać się w siodle tak długo, jak się da. Jeśli nastąpi to pojutrze, będę chroniony przez Horn, o który fala się rozbije, kiedy „Joshua” weźmie kurs ku Falklandom, już na Atlantyku. Jeśli jednak zdarzy się to jutro, na wodzie o głębokości 100 metrów, gdzie olbrzymia fala może się spiętrzyć jak na skraju naszych plaż, to mam nadzieję, że przynajmniej przed Diego Ramírez będzie chociaż trochę słońca, aby sterować precyzyjnie, nie za daleko i nie za blisko. A póki co... bierzmy się do galopu.

Dolna część foka jest pełna żywych pereł. Wznoszą się aż do jednej trzeciej wysokości żagla, a później spływają wzdłuż fałdy refów. To fosforyzująca piana wzbijana przez dziób i rozpylana przez łańcuchy waterbaksztagów. Podczas jasnego dnia, pełnego słońca świecącego z dobrej strony, po nawietrznej przy dziobie powstałaby duża tęcza, rozciągnięta na 15 metrów. Nie byłaby jednak piękniejsza od tych tysięcy zielonych gwiazd świecących w półmroku południowej nocy. Także na bukszprycie jest ich pełno, błyszczących mocniej od tych na foku, ponieważ pomalowany na czarno bukszpryt wyraźnie kontrastuje z jasnym tłem nocy.

Tu i ówdzie pojawiają się na powierzchni morza duże błyski wielkości balonika, wyglądają jak bardzo jaskrawo świecące robaczki świętojańskie o gigantycznych rozmiarach. Widywałem często takie same w pasacie, czasami podążałem za nimi wzrokiem przez ponad pół minuty, nim zgasły.

Na początku dopatrywałem się w nich oczu jakichś niezwykłych zwierząt, wynurzających się z głębin. Z pokładu mojej „Marie-Thérèse II” ci-

skąłem w nie harpunem i byłem zawiedziony, a jednocześnie czułem ulgę, nie wyciągnąwszy na jego końcu wielkiej, kłapiącej paszczą kałamarnicy.

Wkrótce północ. Nie chce mi się spać. Wyczekuję przy kolumnie grotmasztu. Wyczuwam pod ręką jej drżenie przy mocniejszych podmuchach. Jeszcze wytrzyma...

Jestem niemal pewien, że wiatr osłabnie, ponieważ przeszedł na NNW, co w oczywisty sposób oznacza, że nie mam do czynienia z niżem. Wiem jednak, że w wysokich szerokościach nie ma czegoś takiego jak oczywiste dowody. Dowodzić czegoś możemy już po fakcie. Nie zawsze zresztą mając rację.

Mimo wszystko postanawiam założyć ostatni ref na grocie. Jest teraz bardzo mały, a duża cyfra „2” znajduje się bardzo blisko bomu. Od razu czuję się lepiej, a w nogi mi cieplej niż dziesięć minut temu.

Maszt już nie wpada w wibracje, poza chwilami, gdy fok zapracuje mocniej w silniejszym szkwale. Nie ma mowy o zakładaniu na nim drugiego refu. Drugi ref na foku pojawia się tylko wtedy, kiedy dmucha z zabójczą siłą.

Przejaśnienie, którego wyczekiwałem, nie ośmielając się w nie wierzyć w obawie, żeby nie zapeszyć. Przejaśnienie wysokich szerokości! Przychodzi jak wielkie światło. Niebo rozchmurza się po nawietrznej, oświetla swą jasnością jacht i spycha na południowy wschód ostatnie warstwy stratusów wraz z wiszącą pod nimi mgłą. Po kilku minutach gwiazdy przejmują niebo we władanie. Na górze mocno wieje, migoczą więc bardzo intensywnie. Jednak cirrusów przed okrągłą tarczą księżyca jest niewiele. Przypuszczam, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, będzie mi świecił podczas przechodzenia Hornu z początkiem jutrzejszej nocy. Chociaż przed chwilą Księżyc minął swoją kulminacyjną wysokość, to wisi nisko, ponieważ ma północną deklinację, podczas gdy my jesteśmy na 56 stopniu szerokości południowej. Nigdy jeszcze nie widziałem Krzyża Południa tak wysoko i świecącego tak mocno. Dwie małe mgławice leżące na przedłużeniu jego dłuższego ramienia, dokładnie nad biegunem, przypominają dwie fosforyzujące wyspy. Niebo

tymczasem wygląda jak o świcie. Po lewej księżyc w pełni, po prawej refleksy z pola lodowego na niebie Południa, a wszędzie dookoła srebrny dywan morza łamiącego się szerokimi falami.

Ogniste kule, które widziałem wcześniej pośród fal, teraz – kiedy odeszła mgła – widoczne są na 100 metrów. Gdzieś wyczytałem, że to nie są oczy wielkich ośmiornic, tylko skupiska planktonu. Ale chyba nigdy nie dowiem się naprawdę, dlaczego świecą tak jasno, by nagle, bez wyraźnego powodu, zgasnąć. Chciałbym zobaczyć, jak idący w ślizgu „Joshua” uderza w jedną z nich. Przy tej prędkości miałbym na foku wspaniały pokaz sztucznych ogni.

Minęła północ. Wiatr nie słabnie. Fale są wysokie, bardzo wysokie. Obecność księżyca prawdopodobnie potęguje wrażenie wysokości fal, pozostawiając w cieniu ich atakujące ściany, które pozostają ciemne na tle rozciągającej się wszędzie dookoła bieli. Powinienem rzucić resztę grota, a może także fok. „Joshua” nadal szedłby bardzo dobrze, nie przekraczając zbytnio bezpiecznej prędkości. Jednak czasami wchodzi w zdumiewające ślizgi, a log w ciągu 6 godzin odmierzył już 49 mil. Przekracza to graniczną prędkość bezpieczną dla kadłuba. Sam już nie wiem... Zmniejszyć powierzchnię ożaglowania w takiej chwili? Nie. Coś bym tym zepsuł. Horn jest zbyt blisko, by pozwolić sobie na redukcję żagli, dopóki wszystko gra, nawet jeżeli nie idzie już najlepiej.

Przy każdym ataku fali, gdy zwała się ostatnia jedna trzecia jej zbocza, porywy wiatru przez kilka sekund osiągają siłę 9°B. Wszystko dookoła robi się białe, jacht w czasie podmuchu ostrzy do wiatru o 10 stopni, a ja wybieram mocniej szoty grota. Ta ostatnia, trzecia faza załamywania się zbocza zawsze wywołuje ów podmuch, który zmienia nasz kurs o 10 stopni, wypełnia żagle wybrane na blachę i powoduje wchodzenie jachtu w ślizg. Czuję przemożną chęć pójścia na koszt bukszprytu... Jednak nie mam odwagi wychylić się poza fok. To on wyznacza ostatnią granicę rozsądku. Woda podczas ślizgu to już nie woda, a skała.

Tumany piany wzbijanej przez dziób lecą przez kilka sekund po nawietrznej kadłuba. Tworzą lekką mgłę, unoszącą się na zawirowanym prądzie foka powietrzu, po zawietrznej stronie żagla. Wir leci dalej swoją trasą,

a jacht próbuje go dogonić. Podczas ześlizgów z fali czasami mu się to udaje. Niebezpieczna zabawa, potwornie ekscytująca w tym nieco nierealnym świecie. Upojenie prędkością... lecz także czymś znacznie więcej.

Uszy mi płoną. Naciągam kominiarkę, a na nią jeszcze kaptur sztormiaka. Huk morza zmienia się w odległy grzmot, jakby się słuchało muszli.

Słucham, czuję, staram się odgadnąć to, czego nie widzę. Rozkoszne ciepło spływa wzdłuż mojej łydki. Jestem tym trochę zaskoczony, ale stało się i zaoszczędziło mi tych wszystkich komplikacji z zamkami błyskawicznymi i guzikami od spodni, które mogłyby mi przeszkodzić w zauważeniu czegoś naprawdę ważnego.

Staram się wyczuć lód i wodorosty, które żyją na odległych rozlewiskach. Dobrze wiem, że z tej odległości to niemożliwe, lecz muszę szukać ich zapachu, by widzieć dalej, niż on sięga.

Wir piany przechodzi po powierzchni wody wzdłuż nawietrznej burty. Stożkowy na początku, przybiera postać małej fali, gdy odkos wytwarzany przez dziób spycha go na prawo. Noc jest tak jasna, że widzę, jak znowu zmienia kształt.

„Joshua” pędzi za nim w ślizgu, który odchylił jego kurs mocno w prawo, podczas pościgu za tym małym duszkiem. Gwałtowna zmiana kursu... nie do wiatru, jak powinno być.

Silny kopniak. Tym razem „Joshua” łapie większy przechył. Bukszpryt nurkuje podczas zjazdu w ślizgu, a solidna porcja wody przewala się przez pokład. Trzymam mocno szot foka. W butach pełno. Mały statecznik samosteru ciągle trwa na swoim miejscu. Z pewnością zanurkował w morzu, gdy jacht gwałtownie się przechylił, ale się nie złamał. Posyłam mu całusa.

Zbliża się fala, dość wysoka, cały wierzchołek jasny, zbocze czarne i... fru... kil prawie nie zmienia położenia przez 20–25 metrów. Po obu stronach dziobu unosi się duży snop wody, wznosi się bardzo wysoko, pełen wirów, którymi wiatr omiata fok, a nawet trochę sztormkliwer. Słucham. Jeden fałszywy ruch w czasie ślizgu jasną nocą i... mój

piękny ptak przylądków kontynuowałby rejs w towarzystwie duchów piany i pięknych żaglowców, które szły tędy niegdyś, pilotowane przez mewę lub delfina. Sam nie wiem, co bym wolał – mewę czy delfina?

„Joshua” pędzi w stronę Hornu w blasku gwiazd i czuwającego w oddali księżyca. Perły spływają po fokę, aż chciałoby się te szlachetne kamienie wziąć do ręki, lecz ich widok można zachować tylko w pamięci. A daleko za rufą kilwater niczym język ognia wije się po zboczach fal, sięgając ich wierzchołków.

Skrajnie zarefowane żagle odcinają się na jasnym niebie najwyższych szerokości, a księżyc rozświetla morze prosto za rufą. Biały odblask lodów na południu. Duże zielone plamy zieleni na wodzie. Ostre jak zęby wierzchołki fal zastaniają horyzont, a dziób dudni głucho, walecznie tocząc walkę z morzem.

Całe morze jest białe, całe niebo jest białe. Tracę już orientację, gdzie właściwie jestem. Wiem tylko, że od dłuższego czasu pędzimy z prędkością znacznie przekraczającą granicę bezpieczeństwa. Jednak nigdy wcześniej nie czułem tak wielkiej siły mojego jachtu, „Joshua” nigdy nie dał z siebie tak wiele.

Od wczorajszego poranku nie rozstaję się ze sztormiakiem. Kołnierze i rękawy swetra są mokre, spodnie przemoczone od środka, a na obiad połknąłem tylko dwie puszki sardynek. Jednak nie odczuwam zmęczenia, żadnego zniechęcenia. Jak po długim wysiłku przy pływaniu, duch zaczyna unosić się ponad ciałem. 1000 metrów, 1500, 2000, 2500... Po jakimś czasie tracimy rachubę basenów, kręcimy obroty na końcu czegoś przezroczyściego, w czym ciało i to, co w jego wnętrzu, zbliżają się do siebie, by razem otrzeć się o inny wymiar. A wtedy nie ma już ani powietrza, ani wody, ani wysiłku, ani zmęczenia.

Spływają na mnie ciepłe fale wspomnień z dzieciństwa. Odpycham je delikatnie, bo nie jest to właściwy moment. Wracają, lecz grzecznie odchodzą, kiedy proszę, by tego wieczoru zostawiły mnie sam na sam z Hornem. Potem znowu wracają, by popieścić mnie niezmiernie czule... Długie wycieczki na bosaka po lasach Indochin w poszukiwaniu dzikiego miodu, razem z braćmi... użądlenia pszczoł... polowania



Morze wciąż rośnie. By nie wchodzić zbyt często w ślizg, zrzucam bezan

z procami... fale Zatoki Syjamskiej z naszymi pięknymi czółnami... To dziwne, że niebo nad Indochinami i to tutaj, nad Hornem, są tak blisko siebie, że niemal się stykają.

W fantastycznym ślizgu cały bukszpryt znika pod bryzgami, w których na ułamek sekundy księżycowi udaje się wyświetlić bladą tęczę po lewej stronie dziobu. „Joshua” podskoczył niczym lekki ponton i wydał taki dźwięk, jakby kadłub uderzył w coś twardego.

Zrzucam kaptur, ściagam kominiarkę i wkładam ją do przedniej kieszeni sztormiaka. Powietrze jest lodowate. Słucham. Dociera do mnie z całą siłą i przerażającą jasnością, że trzeba zredukować powierzchnię żagli, zwolnić i przestać wchodzić w ślizgi. A jednocześnie jest coś, co dostrzegam w sobie, coś, co śpiewa, co chciałbym słyszeć jeszcze i jeszcze dalej – wielka świetlista fala, na której wptynałbym w wieczność.

Wracaj pod maszt... wracaj, koniecznie... Przestań już igrać z duchami piany, mewami i delfinami... Wracaj szybko pod maszt, by zrzucić grot i trzymać twardo w ryzach jacht i swój rozsądek.